

Marcin Jamiołkowski

SZCZĘŚCIARZ



MARCIN JAMIOŁKOWSKI

SZCZĘŚCIARZ



GENIUS
CREATIONS

ZAGINIONA

– Jaką chcesz kawę? – zapytała Anna, unosząc głowę znad menu. – Bo ja nie mogę się zdecydować.

Oderwałem wzrok od stolika, któremu przypatrywałem się bezmyślnie już od kilku minut, i przeniosłem spojrzenie na przyjaciółkę. Miała nową fryzurę – przycięte w jednej z wariacji pazia włosy opadały z prawej strony długim kosmykiem aż pod brodę, z lewej dla odmiany kończąc się tuż pod uchem. Po namyśle stwierdziłem, że wzmocniła też ich kolor – zwykle jasnobrązowe, teraz przywodziły na myśl świeżo opadły, jesienny kasztan: były ciemne, połyskujące, gładkie. Pasowały idealnie do oczu, które również miały brązowy odcień, Anna nazywała go „butelkowym”, według mnie bardzo niesprawiedliwie. Na moją uwagę, że „butelkowy” to odcień zielonego, odrzekła, że chodziło jej o brązowe butelki. Niech i tak będzie. Z kobietą nie kłóci się o kolory.

Znowu coś powiedziała, ale tym razem, zapatrzony w jej oczy, nie zrozumiałem ani słowa.

– Co? Co? – wymamrotałem niezbyt elokwentnie i od razu przygotowałem się na szpilkę, która w tej sytuacji musiała się pojawić.

Nie pomyliłem się. Anna zmrużyła oczy, osłoniła twarz ręką i obróciła się półprofilem.

– Ach! – rzuciła, udając podekscytowanie. – Twój talent krasomówczy sprawił, że czuję się taka... onieśmielona! Poraziłeś mnie! Obez władniłeś...

– Daj spokój – mruknąłem niewyraźnie. – Nie obudziłem się jeszcze.

– Dlatego spytałam, co pijesz.

Zajrzałem do karty, ale zamiast wybrać kawę, usiłowałem sobie przypomnieć, po jakie lichy umówiłem się z Anną tak wcześniej. Byłem niewyspany. Czułem się jak zombie. Przekląłem w duchu Zezela, którego pośrednio obarczyłem winą za zarwaną noc.

Pojawił się wczoraj wieczorem, w jednym ręku ściskając butelkę wina, w drugiej kilka płyt DVD, które wręczył mi tuż za drzwiami.

„Mam «Firefly»” – powiedział tonem, który zdaje się miał oznaczać, że właśnie przyniósł Świętego Graala kinematografii i właściwie powinienem paść na kolana, a potem zalać się łzami wdzięczności. Oczy błyszczały mu zza okularów jak dwa świetliki, nomen omen. Moje pokrętne wyjaśnienia, że nie oglądam żadnych seriali i nie wiem, czym jest to całe „Firefly”, naturalnie zignorował. „Jeszcze mi podziękujesz” – powiedział tylko.

Zawaliliśmy praktycznie całą noc. A teraz mogłem mu faktycznie podziękować. Zezel, ty łachu! Byłem nieprzytomny!

Po co tak wcześniej umówiłem się z Anią? Ach, no tak! Rano, bo później miała do załatwienia jakieś służbowe sprawy. No to kolejne pytanie – po co w ogóle się uma-

wiałem? Dlaczego w kawiarni, a nie zaprosiłem do domu? Aha, bo dziś jest Dzień Kobiet. I chciałem, żeby było ładnie i formalnie. I miałem jej wręczyć tulipana. Którego oczywiście zapomniałem kupić. Do kawiarni miałem blisko – wyszedłem z domu i poczłapałem do niej jak automat, ledwie przytomny.

– To ja mocną – odezwałem się nagle.

– Co? – Anna drgnęła.

– Pani detektyw mnie poraża – powiedziałem spokojnie – onieśmiela i obezwładnia...

Anna prychnęła, ale kącik jej ust drgnął leciutko.

– I tak ma być. – Nagle obdarzyła mnie pełnym uśmiechem, a moje serce, nie wiedzieć czemu, postanowiło przyspieszyć rytm.

– Wezmę latte macchiato, podwójne. Muszę się obudzić.

– Ja wezmę cappuccino.

– Świetna fryzura.

Anna rzuciła mi powłóczyście spojrzenie.

– Czy ty mi się podlizujesz? Najwyraźniej czegoś chcesz.

– Dasz mi potrzymać swoją spluwę?

– Nie. Musisz się lepiej postarać.

Nabrałem powietrza.

– Świetnie wyglądasz.

– Ciepłej, ciepłej. – Znowu się uśmiechnęła.

– Nie mogę oderwać wzroku.

– Dobrze ci idzie.

– A teraz dasz mi spluwę?

– Za szybko. Jesteś zbyt niecierpliwy.

Roześmialiśmy się.

– O co chodzi? – zapytała Anna, ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodała: – Albo może poczekaj, aż wrócę. Pójdę zamówić kawę i wybiorę sobie jakieś ciastko. Chcesz coś?

Pokręciłem przecząco głową. Obserwowałem, jak wstaje i idzie w stronę lady. Kelnerka stojąca do tej pory przy

kasie, jak na złość, odwróciła się i zniknęła za kuchennymi drzwiami. Anna przewróciła oczami i pokazała w stronę toalety. Zrobiła gest, jakby pudrowała twarz. Zrobiłem jej dziecięce pa, pa i przymknąłem oczy. W rzeczywistości gapiłem się nią przez całą drogę do łazienki. Jej chód był prawie męski, zdecydowany. W końcu była detektywem. I miała trzech starszych braci. Zamknąłem oczy do końca i trwałem w tym stanie, zawieszony pomiędzy jawą a snem, póki nie usłyszałem dźwięku odsuwanej krzesła. Spojrzałem przed siebie i zdziwiłem się. To nie była Anna. Miejsce naprzeciw mnie zajęła piętnastoletnia na oko dziewczyna.

Jasne włosy zebrane miała w długi, koński ogon, który spływał jej na ramię. Chuda buzia i mały nos upodabniały ją do jakiegoś niewielkiego zwierzaczka. Łasicy? Tchorzofretki? A może to była wina tego uważnego, baczego spojrzenia. Nie, nie była brzydka, raczej trochę zaniedbana. Trochę za duża granatowa bluza z kapturem nie poprawiała tego wrażenia.

Miałem nadzieję, że to jakaś pomyłka, że przysiadła się przypadkiem.

Rozejrzałem się dyskretnie. Pomimo wczesnej pory kilka stolików było już zajętych, ale mniej więcej tyle samo było wolnych. Westchnąłem w duchu. Na wypadek nie ma co liczyć.

Wolałbym na powrót zapaść w letarg, ale z doświadczenia wiedziałem, że ignorowane problemy nie znikają. „Z problemami jest jak z szambem – powiedział mi kiedyś mój znajomy, porucznik BOR-u – zaniedbane w końcu wybije”.

Trochę powątpiewałem w trafność tego porównania, ale mimo wszystko coś w tym było.

Dziewczyna siedząca przede mną obserwowała mnie czujnie, zmarszczyła czoło w skupieniu i wyglądało na to, że zbiera się do przemówienia. Przestraszyłem się, że zaraz usłyszę pytanie w stylu „kupisz mi dżinsy?” i spadnę z krzesła. Postanowiłem uderzyć pierwszy:

– Sprzedajesz tulipany?
– Słucham? Nie! – Głos miała miły, chociaż lekko piskliwy.
– Szkoda – mruknąłem zawiedziony i mimo wszystko zamknąłem oczy.

– Pan Kruk, prawda? – Usłyszałem.
Nie poruszyłem się, nie odpowiedziałem. Gdzie jest Anna?
Na pomoc!

– Proszę nie udawać.
Otworzyłem jedno oko i powiedziałem bezczelnie:
– Dobre wychowanie nakazuje się najpierw przedstawić.
– Dobre wychowanie nakazuje mężczyźnie wstać, kiedy przysiada się kobieta – odcięła się.

– Kobieta? Wcześniej zaczynacie w tych gimnazjach.
Zaczerwieniła się. Zamknąłem oko z powrotem.
– Nazywam się Magda Zielińska. Potrzebuję pomocy, panie Kruk.

Otworzyłem oczy i wyprostowałem się na krześle.
– Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć?
Zawahała się chwilę.
– Wróble ćwierkają, że często pan tu zagląda. Więc postanowiłam zacząć się od rana, a tu proszę, od razu trafienie.
– Wypełnij formularz zgłoszeniowy na mojej stronie internetowej.

– Na stronie... – powtórzyła i urwała. – To był żart, prawda?

Uśmiechnąłem się porozumiewawczo, potwierdzając, że to ta chwila, kiedy powinna się śmiać. Oczywiście nie była nawet rozbawiona.

– Naprawdę potrzebuję pana pomocy.
– Obawiam się, że jestem chwilowo niedostępny.
– A mówili, że jest pan miłym człowiekiem...
– To pewnie sierotki. Zawsze odprowadzam do domu zaginione sierotki, dlatego mają o mnie dobre zdanie.
– Zaginęła moja koleżanka...

Dziewczyna nagle, zdecydowanym ruchem, wyciągnęła z kieszeni bluzy zdjęcie i położyła na stole. Przedstawiało młodą brunetkę, ładną, zdecydowanie starszą niż siedząca obok tchórzofretka. Chociaż może się myliłem. Mimo że wyglądała na pełnoletnią, ciągle widać było szczenięcą urodę nastolatki.

Przeniósłem wzrok ze zdjęcia na... jak jej było? Na Magdę.

– Ludzie często znikają, proszę się zgłosić na policję.

– Ale pan...

– Ja nie jestem policjantem – przerwałem jej. – Proszę się do nich zgłosić.

– Pomoże mi pan albo... – Zacisnęła usta.

– Albo co? – zainteresowałem się. To mogło być ciekawe.

– Zacznę krzyczeć, że mnie pan dotykał. A jestem nieletnia.

Spojrzałem w lewo, na siedzącego trzy stoliki dalej biznesmena w garniturku czytającego gazetę. Na kobietę w popielatym żakiecie grzebiącą długą łyżką w swojej latte. Szybko odwróciłem się w prawo, gdzie jakaś para wcinała szarlotkę, obejrzałem się nawet do tyłu na poważną matronę, o włosach upiętych w staromodny kok, napychającą usta sernikiem.

– Tak sobie myślę – zacząłem powoli, zataczając ręką wokół – że zapewne oni wszyscy jakoś tam zwrócą na to uwagę i może się tym zainteresują. Na pewno nie przyjdą mi wręczyć Orderu Uśmiechu, co jest przykre ze względu na to, że lubię dzieci, ale tak, masz rację, na pewno przyjdą ci z pomocą.

Usta Magdy zacisnęły się w wąską kreskę. Nagle jednak wyprostowała się i otworzyła usta do krzyku. Zanim jednak wydała z siebie jakikolwiek głos, uniosłem w górę palec. Dziewczyna obserwowała mnie uważnie, nie wydając na razie żadnego dźwięku.

Wychyliłem się trochę w bok i spojrzałem za jej plecami, tam, gdzie chwilę temu usiadła Anna. Widziałem, jak wracała z toalety, zobaczyła, że mam gościa, i zajęła miejsce

przy stoliku za dziewczyną. Przysłuchiwała się rozmowie już od dłuższego czasu. Teraz zaś pani detektyw wyciągnęła dyktafon, przysunęła go w stronę dziewczyny i włączyła odtwarzanie.

„Zacznę krzyczeć, że mnie pan dotykał. A jestem nieletnia”. – Usłyszeliśmy.

Dziewczyna drgnęła wyraźnie zaskoczona i spojrzała do tyłu. Anna posłała jej promienny uśmiech.

– Więc może zróbmy tak, droga Magdo – przerwałem ciszę, która zapadła po tym małym psikusie. – Pójdiesz sobie do jakiegoś innego stolika, a może nawet wyjdiesz z kawiarni, zrobisz krótki spacer i wrócisz, kiedy skończę swoją kawę.

Dziewczyna była czerwona jak tulipan, którego zapomniałem rano nabyć.

– A wtedy, kiedy już wrócę do żywych, będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Co ty na to?

Magda pokiwała głową, wstała bez słowa i wyszła na zewnątrz.

Odprowadziliśmy ją wzrokiem. Anna przesiadła się i postawiła na stoliku moje macchiato, swoją kawę i kawałek szarlotki. Ja przyssałem się do kubka, a Anna zaczęła dłużyć widelcem w ciastku.

– Co to było? – zapytała w końcu.

– Nie wiem do końca. Pewnie ma kłopoty i potrzebuje pomocy.

– Zrobiłeś się ostatnio bardzo wrażliwy – zakpiła.

– Jakoś tak samo wyszło. – Coś w środku mnie zawstydzilo się wcześniejszej opryskliwości w stosunku do dziewczyny. Wzruszyłem ramionami. Kawa płynęła do żołądka i już prawie czułem, jak łączy się z krwiobiegiem. – Nie obudziłem się jeszcze dobrze. Wróci, to się dowiem.

– A o czym chciałeś rozmawiać?

– No... – Skrzywiłem się i w końcu wyplułem z siebie: – Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Kobiet.

Anna popatrzyła na mnie z mieszaniną zaskoczenia i zaciekawienia.

– Ty jednak jesteś szurnięty. A gdzie masz kwiatek?

– Zapomniałem kupić – przyznałem zbolalym głosem.

– Nie dziwię się, patrząc na ciebie wydaje się, że dopiero zastrzyk z kofeiny bezpośrednio w rdzeń kręgowy postawi cię na nogi.

– Przepraszam...

Przerwała mi ruchem ręki.

– Doceniam jednak, że tu dotarłeś, pomimo zmęczenia i tak wczesnej pory.

Głos miała chłodny i opanowany, ale to były tylko pozory, bo jej oczy śmiały się serdecznie. *Butelkowe* – pomyślałem nie wiedzieć czemu.

– Ale o czymś jednak zapomniałeś – dodała surowo.

– O czym? – zaniepokoiłem się.

Anna nachyliła się do mnie.

– Buziak, głąbie! Życzenia z okazji Dnia Kobiet bez buziaka nie mają żadnej mocy. Taki mag jak ty powinien o tym wiedzieć!

Zaśmiała się, kiedy cmoknąłem ją w policzek, pokręciła głową i podniosła się.

– Dobra, muszę się zbierać.

Sięgnęła po pieniądze, ale machnąłem ręką, powstrzymując ją.

– Zapłacę. Leć, latawico. Wpadniesz wieczorem na kolację? U mnie znowu załagł się Zezel, pewnie na dwa tygodnie najmarniej.

Anna pokiwała głową z uśmiechem.

– Dobra, będę. Kup jakieś wino.

– Tak jest, pani detektyw.

– Jezu! Mówiłam, nie nadużywaj tego zwrotu.

– Tak jest... – Resztę słów zmelłem pod nosem.

– Opowiesz potem o tej dziewczynie.

Zakręciła się na pięcie, zdjęła z wieszaka skórzaną kurtkę, założyła na plecy i już jej nie było.

Zamówiłem kolejną kawę i sącząc ją, czekałem, aż pojawi się moja nowa znajoma, nieletnia szantażystka Magda Zielińska.

Nie przyszła.



Trzy dni później nie pamiętałem już o tym spotkaniu. Weekend minął spokojnie, acz zaskakująco szybko – trochę czasu spędziłem w towarzystwie Anny, nieco więcej z Zezelem. Odwiedziłem kilku znajomych, włóczyłem się bez celu po mieście i zastanawiałem, co ze sobą zrobić. Nagle okazało się, że praktykowana długo bezczynność, relaksujące siedzenie z igłą i nitką nad wykrojami, nie przynosi mi satysfakcji. Tak jakby moje dotychczasowe hobby już mnie zmęczyło. Potrzebowałem adrenaliny. Zanim jednak przypomniałem sobie sprawę Magdy, moją głowę zaprzął ktoś inny.

Przydybał mnie w tej samej kawiarni, w poniedziałek, koło południa. Mężczyzna, około trzydziestoletni, przystojny, o ciemnych włosach i twardej linii szczęki. Wszedł do kawiarni i zatrzymał się w progu.

Był modnie ubrany – miał na sobie ciemną marynarkę, pod nią jasnozieloną koszulę, szyję okręcał mu luźno brązowy szalik, ale uwagę przykuwały buty – wysokie trzewiki, w papuzich kolorach. Czerwone, licowe noski, zielona cholewka, a boki niebieskie. Po chwili zorientowałem się, że buty są różne, jakby nie od pary. Miały te same kolory, ale jeden miał niebieską część cholewki tam, gdzie drugi miał zieloną i odwrotnie. Zastanowiłem się, czy to moda,

czy ekstrawagancja. Ale może po prostu ja nie nadążałem za zmianami. Spojrzałem na swoje brązowe półbuty. Przy tamtych kolorowych moje wyglądały, jakby było im przykro.

Mężczyzna rozejrzał się po sali, kogoś szukając. Przemknął wzrokiem po kilku gościach i w końcu zatrzymał się na mnie.

Nasze spojrzenia przecięły się na mniej niż sekundę i mężczyzna ruszył bez wahania w moją stronę. Usiadł przy moim stoliku, jakbym go co najmniej oczekiwał, skinął mi głową i rzucił olśniewający uśmiech do kelnerki, która – olśniona – przytuptała do stolika błyskawicznie.

– Macchiato poproszę, z syropem orzechowym, średnie.
– Znowu błysnęły zębami.

Nie zaryzykowałbym twierdzenia, że wyglądał jak milion dolarów, ale pachniało grubszą forszą. Nie grubą. Takim dobrze napchanym portfelem.

– Pan Herbert Kruk – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Nazywam się Jacek Kliszewski.

Wyciągnął do mnie rękę ponad stołem, uścisnęliśmy sobie dłonie. Jakiś cień, może niesmaku, zaburzył dotychczasowy uśmiech, wiedziałem, że to z powodu mojej rękawiczki, której nie zwykłem zdejmować w takich sytuacjach.

Skinąłem uprzejmie głową, ale nie odzywałem się. Facet miał sprawę, to zaraz powinien ją wyłuszczyć. Trochę dziwiło mnie, że wiedział, jak wyglądam i gdzie mnie znaleźć. Najwyraźniej zacząłem być sławny w mieście. A może niezupełnie sławny, ale rozpoznawalny. Na pewno – potrzebny.

Czekałem. Od strony kontuaru dobiegło syczenie ekspresu, kelnerka uwijała się przy kawie.

Kliszewski nie speszył się moim milczeniem.

– Mam sprawę. Myślę, że w sam raz dla pana – zaczął.

Przyszło mi na myśl, że może jakimś dziwnym trafem moja sława zaczęła ocierać się o zdolności detektywistyczne, a faceta wprowadzono w błąd. Ale nic nie stało

na przeszkodzie, żeby go wysłuchać, a w ostateczności – jeśli uznam, że to nie moja działka – będę mógł polecić mu Annę Mróz, licencjonowanego detektywa.

– W takim razie słucham – powiedziałem.

Przerwała nam kelnerka, która zjawiała się przy stoliku i postawiła na nim zamówioną kawę, po czym uśmiechnęła się sympatycznie do Kliszewskiego. Poczulem uczucie zazdrości. Tak szybko nie zostałem tu obsłużony jeszcze nigdy.

– No tak, do rzeczy. – Potarł ledwo widoczny zarost na brodzie. – Jestem dyrektorem kreatywnym w agencji interaktywnej Fidelio. Zajmujemy się reklamą i szeroko pojętym marketingiem zarówno w internecie, jak i w naszej bladej rzeczywistości. – Uśmiechnął się promiennie, jakby to osobiście dzięki niemu otaczający nas świat nabierał rumieńców, wyłaniając się z połaci szarzyzny i nijakości. – Ostatnio otrzymaliśmy zlecenie, dość nietypowe. Tak gwoźli ścisłości, to tylko nam udało się spełnić wymagania formalne dotyczące przetargu... No mniejsza z tym. Otrzymaliśmy pracę.

– Nietypową? – wtrąciłem.

– Tak, już tłumaczę. Otóż zwykle koncentrujemy się na akcjach reklamowych klasycznych firm, tym razem, chociaż nieco pośrednio, bierze w tym udział Wydział Promocji Miasta. W gruncie rzeczy Wydział Promocji jest jednym ze sponsorów projektu. Pomysłodawcą jest pewien artysta: zapaleniec, który wydeptał sobie ścieżki. Sam pomysł jest dość ciekawy i wzbudził nasze zainteresowanie, a i zapłata szykuje się godziwa. – Urwał i zamyślił się na moment.

Byłem oczywiście ciekawy, co to za projekt, ale postanowiłem faceta nie popędzać, niech mówi swoim tempem, kiedy będzie gotowy. Spojrzałem na stojący przede mną pusty kubek i przeniosłem wzrok na kelnerkę, ale odniosłem wrażenie, że robi wszystko, żeby na mnie przypad-

kiem nie spojrzeć. Zanim udało mi się przykuć jej uwagę, Kliszewski zaczął opowiadać dalej:

– Projekt jest nietypowy, ale ciekawy. Ogólnie prawie wszystko dostaliśmy na tacy od pomysłodawcy, zajęliśmy się głównie technologiczną stroną przedsięwzięcia, choć mieliśmy kilka ciekawych koncepcji, które wdrożyliśmy. Sam projekt nosi roboczą nazwę „Dziurka od klucza”. O co chodzi? Autor pozazdrościł trochę Wrocławowi. Był pan we Wrocławiu? – Nie czekając jednak na moją odpowiedź ciągnął: – Wrocław znany jest ze swoich krasnali. Wszędzie stoją figurki krasnoludków, w różnych miejscach, przeróżnych pozycjach. Jeszcze parę lat temu było ich kilkadziesiąt, można było je wszystkie obejrzeć w ciągu jednego dnia, teraz ich liczba wzrosła do prawie trzystu. Każda szanująca się firma chce mieć swojego krasnala, stawiają je na potęgę, gdzie się da. Nasz projekt jest trochę inny, nie da się powtórzyć sukcesu krasnali albo przeszczepić je do Warszawy. Ale planujemy zrobić coś viralowego, coś, o czym ludzie będą mówić, a może dzięki czemu wybiorą się na wycieczkę do naszych miejsc. – Przerwał na chwilę i wziął dwa łyki kawy. Spojrzał na kelnerkę, która – a jakże – od razu złapała jego wzrok i posłał jej czarujący uśmiech, samymi oczami. I tym razem kelnerka nie dała rady odwrócić głowy w moją stronę. – Nasz projekt to rozmieszczone w różnych częściach miasta, interaktywne „dziurki od klucza”. Ustawione w strategicznych częściach miasta instalacje, coś w rodzaju wolnostojących pudełek na „kurzej łapce”, jak nazywają to współpracownicy, lub montowanych we wnękach domów albo wmurowanych, z wziernikiem w kształcie przerośniętej trochę dziurki od klucza. Wewnątrz wyświetlane są zdjęcia z dawnych czasów, zrobione w odpowiednich lokalizacjach, wywiady ze starszymi ludźmi, pamiętającymi inne czasy, mający ciekawe historie dotyczące miasta. Udało się pozyskać nawet kilku znanych aktorów, choć nie bez trudności, przyznaję...

Prawie udało mi się złapać kelnerkę. Jakimś cudem udało jej się przeskoczyć moją osobę i poszła trzy stoliki dalej. Westchnąłem cicho.

– Dwa dni temu rozpoczęliśmy wdrożenie. Wykonaliśmy na razie trzy testowe instalacje, jedną oczywiście na Starym Mieście, niedaleko stąd, drugą na Nowym Świecie, a trzecią...

– Zawiesił głos, zadumany, a ja nie przerywałem, bo nie miałem ku temu żadnego powodu. – Trzecią w Fotoplastikonie.

– Fotoplastikonie? – zdziwiłem się. – Cały Fotoplastikon to taka trochę seria dziurek od klucza.

– Tak, trochę nam to nie pasowało do koncepcji, ale miasto się uparło, żeby w ramach wzajemnej promocji postawić tam jedno z urzędzeń.

– No i?

– Otóż pojawił się pewien problem, zupełnie niebiznesowej natury. Widzi pan... nie wiem, jak to powiedzieć. Nasze dziurki to nic innego niż opakowane tablety. Do niektórych domontowane są zewnętrzne głośniki, żeby można było wysłuchać historii. To dość złożony projekt, bo każda „dziurka” ma własną opowieść, każdą trzeba reżyserować oddzielnie, przygotować, napisać, nagrać, zmontować. Do Fotoplastikonu też mieliśmy gotową. Pomimo to wygląda na to, że... – Głos zaczął mu się rwać.

– Tak?

– Dziurka od klucza w Fotoplastikonie jest chyba nawiedzona – zakończył wreszcie niechętnie.

Wypuściłem powietrze. No bez przesady. Nagle zacząłem tracić zainteresowanie tym tematem. Nawiedzenia to bzdury!

Coś z tych myśli chyba odbiło się na mojej twarzy, bo Kli-szewski skrzywił się jakby ze zrozumieniem.

– Tak, miałem podobne odczucia, kiedy usłyszałem o tym po raz pierwszy.

– A jak się objawia rzeczona nawiedzenie? – zapytałem z rezygnacją.

– Na tablecie, który tam zainstalowaliśmy, wyświetla się inny film, niż został wgrany. Na początku myśleliśmy, że to żart, potem, że to jakaś pomyłka, ale... Wie pan, mamy swoich informatyków, dobrych informatyków. Najpierw tak jak mówiłem, myśleliśmy, że to dowcip. Informatycy to dziwna menażeria, mają swoje specyficzne, często spazczone poczucie humoru. Ale jakoś żaden się nie przyznał. Zabrali się do tematu sami.

Znowu łyknął kawę, a ja postanowiłem w tym czasie pozwolić się zignorować po raz kolejny kelnerce.

– Wie pan, mam takiego zaufanego programistę, pracujemy od wielu lat razem, już w kilku firmach. Taka anegdota... W poprzedniej pracy miał opinię tak zajebistego, że nakleili mu na drzwiach kartkę z napisem „Departament Rzeczy Niemożliwych”. Zdjął ją, bo stwierdził, że dla niego nie ma rzeczy niemożliwych. A teraz się poddał. Pierwszy raz widzę, że jest coś, czego nie potrafi wyjaśnić. Próbowaliśmy wszystkiego. Najpierw sprawdzili tablet i jego pamięć, nie znaleźli tam żadnego dodatkowego nagrania. „Dziurka” przeniesiona w inne miejsce działała poprawnie. Wewnątrz Fotoplastikonu znowu wyświetlała ten dziwny film. Stwierdzili, że może film się aktywuje poprzez geolokalizację, więc wyłączyli mu GPS, wyjęli kartę SIM, ale niestety, dalej to samo. Na koniec zmienili tablet. I wie pan co?

– Pewnie ciągle to samo?

– Otóż to. – Sapnął. – Głupia rzecz, wzięliśmy specja z zewnątrz, też nic nie znalazł. Projekt zaczął się opóźniać, za kilka dni mamy zrobić prezentację z wdrożenia, takie demo, i oczywiście Fotoplastikon jest na pierwszym miejscu, a tu kicha.

– Może ktoś z wewnątrz sabotuje przedsięwzięcie?

– Myślałem i nad tym. Wdrożyliśmy specjalne procedury bezpieczeństwa i dostępu do urządzeń. Nic nie pomaga.

– A co jest na tym filmie?

– No więc to też jest dziwne. To był trochę punkt zaczepienia dla nas, ale i w tym przypadku utknęliśmy. Na filmie jest jedna z naszych modelek. Właściwie to... – zmieszał się minimalnie – to jedna z ładnych buzi, które zatrudniamy od czasu do czasu. Małolatka.

– Zatrudniona na czarno, jak zgaduję?

– To akurat z korzyścią dla obu stron. Niewielkie kwoty, płacone pod stołem, dla niej atrakcyjny zarobek, dla nas to nic, czego nie da się wyjąć z kieszeni.

Miałem wrażenie, że „dla nas” oznaczało w tym przypadku dokładnie „dla niego”. Płacił z własnej kieszeni, premie za projekt miał pewnie i tak niebotyczne.

– I co ona tam robi? Na tym filmie.

– Siedzi, coś mówi. Nic w sumie strasznego się nie dzieje, wszystko wygląda jak fragment rozmowy. Ciężko powiedzieć, obraz rozmazuje się miejscami. Nie ma dźwięku. Sama treść nagrania nie stanowi większego problemu, za to jego uporczywa obecność już zdecydowanie tak.

– Z dziewczyną rozmawialiście?

– Zniknęła, nie mamy z nią kontaktu. Co gorsza, próbowaliśmy nagrać ten film kamerą, i wie pan co? Po odtworzeniu tego nagrania nie widać. Widać oryginalny film. Tak jakby tylko patrząc bezpośrednio, oczami, rozumie pan, można było zobaczyć nagranie.

Kliszewski wyciągnął z kieszeni komórkę z wielkim, pięciocalowym przynajmniej ekranem i wyświetlił zdjęcie. Zobaczyłem ładną czarnowłosą dziewczynę o długich nogach, leżącą w jakiejś wydumanej, artystycznej pozie. Przypatrzyłem się jej twarzy i serce załomotało mi gwałtownie. To była koleżanka ze zdjęcia Magdy Zielińskiej. Magdy, którą tak nieładnie spławiłem.

– To jest ta dziewczyna. Nazywa się Wiktoria Kamińska – wyjaśnił Kliszewski. – Problem z nią jest taki, że nie

możemy jej znaleźć. Ktoś ją kiedyś polecił do pracy, ale teraz nikt nie wie, gdzie jest, no wie pan, nie rozliczamy jej PIT-em, trochę taki wolny strzelec. Jej komórka jest wyłączona.

– Czy problemy z instalacją w Fotoplastikonie są od początku?

– Właściwie to nie. – Spojrzał na mnie uważnie. – Wszystko działało poprawnie do zeszłego poniedziałku.

– I podejrzewacie, że dziewczyna nie żyje?

– Tak. Skąd...?

– Nie bez przyczyny użył pan terminu „nawiedzenie”. – Uśmiechnąłem się ponuro. – A czego oczekuje pan ode mnie?

Nie wahał się długo.

– Zlikwidowania przyczyny tego nawiedzenia. Słyszałem, że jest pan czymś w rodzaju egzorcysty. Mamy maksymalnie trzy dni na wykonanie prezentacji.

Powstrzymałem się, żeby nie parsknąć. Nazwanie maga egzorcystą to tak, jakby czerwone ferrari mianować po prostu autem. Okropna pomyłka. Powstrzymałem jednak się od komentarza, chociaż urażona duma wierzgała jak złośliwa klacz na padoku.

A potem pomyślałem o nudnym weekendzie, o sezonie na Służewcu, który rozpocznie się dopiero za miesiąc, i o tym, że napiłbym się dobrego wina w niezłej restauracji. Pomyślałem też o ładnych, kolorowych butach z czerwonymi noskami.

– Jakie proponuje pan wynagrodzenie? – zapytałem poważnie, bez uśmiechu. – I jak przekaże mi pan tę walizkę z gotówką?



Dogadaliśmy się. Z walizką może przesadziłem, ale miałem coś wspólnego z zaginioną Wiktorią – też nie uznawałem rozliczeń ze skarbówką.

Umówiłem się z Kliszewskim, że pojawię się w Fotoplastikonie za dwie godziny i tam zostanie mi zademonstrowana problematyczna usterka techniczna czy też „nawiedzenie”, jak wołał to nazywać. Co do tego terminu byłem zdecydowanie sceptyczny. Nie wierzę w duchy. Żadnego do tej pory nie spotkałem, nigdy nie poczułem lodowatego dotyku na rękę czy zimnego podmuchu na karku. A jeśli już, to zwykle winny był człowiek. Albo magia.

Kiedy Kliszewski wyszedł, udało mi się w końcu przyciągnąć uwagę kelnerki i zamówić kolejną kawę – tym razem małą. Siedziałem nad nią i starałem się wymyślić, co może być przyczyną wadliwego działania „dziurki od klucza”. Szybko dopiłem kawę i rzuciłem pieniądze na blat. Wyszedłem, nie czekając na resztę, mimo że obsługa dziś nie zasłużyła na napiwek.

Ruszyłem z kawiarni i wciągnąłem głęboko powietrze. Zima powoli szła spać. Czułem liźnięcia wiosennego wiatru – jeszcze nie ciepłe, ale już nie lodowate. Postawiłem kołnierz kurtki – nie chciałem się przeziębnić, w taką pogodę łatwo coś złapać.

Sięgnąłem do kieszeni, wyłuskałem z paczki papierosa i wsadziłem do ust. Pstryknąłem zapalniczką – zieloną jednorazówką. Nic. Drugi raz i trzeci. To samo. Dysza była zapchana. Wydłubałem ze środka jakiś paproch, który zatykał wylot gazu. Cholera, ciągle to samo! Gdzie wcięło mi moje Zippo?

Zapaliłem w końcu papierosa, zaciągnąłem się po raz pierwszy, głęboko i poczułem klepnięcie w ramię.

– Znowu palisz? – powiedziała Anna, stając obok. – Rzuć to świństwo.

Rozkasłałem się, łzy nabiegły mi do oczu.

- Widzisz – ciągnęła – trucizna.
- Przecież nie przyznam się, że się zachłysnąłem, bo mnie przestraszyła. Dałem się zaskoczyć. Złapałem oddech i machnąłem ręką.
- Teraz to palę już tylko po kawie.
- Jasne.
- Chwyliła mnie pod rękę i pociągnęła w stronę domu.
- Opowiadaj.
- Co mam opowiadać? – Udałem zaskoczenie.
- Oczy ci błyszczą. Na coś wpadłeś. – Ścisnęła mnie za łokieć, jakby miało to pomóc mi ujawnić prawdę.
- Westchnąłem ciężko.
- Aż tak to widać?
- Czytam w tobie jak w książce. Dobrze oświetlonej, z dużymi literami.
- No jest taka dziwna sprawa...
- I chciałeś ją przede mną utrzymać w tajemnicy?
- Co? Nie! – zaprzeczyłem, energicznie potrząsając głową.
- Miałem ci powiedzieć.
- Aha!
- Patrzyła na mnie podejrzliwie, z niedowierzaniem.
- Serio.
- Anna roześmiała się dźwięcznie.
- No wierzę. Po prostu masz taki skołowany wyraz twarzy, kiedy się z tobą droczę.
- Wstydziłabyś się – powiedziałem z udawanym wyrzutem w głosie.
- Cieszyłem się, że Anna się zjawiała, właściwie to dlatego opóźniłem swoją wizytę w Fotoplastikonie – chciałem do niej zadzwonić wcześniej, uprzedzić i ściągnąć na miejsce. Anna nie lubiła być zaskakiwana.
- Po drodze do domu opowiedziałem jej o spotkaniu z Kłiszewskim, starając się nie pominąć żadnych szczegółów.

– Dziwne – skomentowała. – Naprawdę brzmi jak nawiedzenie.

W jej głosie słyhać było niedowierzenie i jakby rozbawienie.

– W takim razie to będzie pierwsze w mojej karierze.

– I dziewczyna ze zdjęcia to naprawdę ta zaginiona koleżanka? Tej Magdy, z kawiarni?

– Tak. Bardzo charakterystyczna uroda młodej foczki.

– Hm... Herbert, znowu to robisz. – Anna zamrugła gwałtownie.

– Co?

– Obezwładniasz mnie i onieśmielasz swoim wygadaniem.

– Cicho, babo!

Pociągnąłem ją za rękę i przyspieszyłem kroku, żeby wyjść z zasięgu jej łokcia.



Mieliśmy dużo czasu. Na tyle dużo, że zamiast skorzystać z komunikacji miejskiej, wybraliśmy się na spacer i około godziny czternastej stanęliśmy w Alejach Jerozolimskich, pod bramą prowadzącą do oficyny, gdzie znajdował się Fotoplastikon.

– Poczekaj chwilę – poprosiłem nagle Annę. Zostawiłem ją przy bramie, a sam podbiegłem do stojącego nieopodal niebieskiego parkomatu.

Pogrzebałem w kieszeni i wyciągnąłem dwie pięciotówki. Wrzuciłem je do urządzenia, mruczac pod nosem pytanie, a na koniec nacisnąłem przycisk „Akceptuj”. W brzuchu maszyny warknęło i z dyspensera wypadł karteluszek, który natychmiast złapałem. Przeczytałem odpowiedź i zasmokotałem z zadowoleniem.

– Dzięki, stary – mruknąłem i odwróciłem się, prawie wpadając na Annę, która w tym czasie podeszła bliżej, przypatrując się uważnie.

– Tak sobie myślę, że nie przyjechaliśmy samochodem. Ba! Ty nawet nie masz samochodu. To po czorta ci bilet parkingowy? Właśnie: po nic. Więc co tam czarujesz, doktorku?

Uśmiechnąłem się z zadowoleniem.

– Ha! Ta sprawa kradzieży samochodu, której się podjęłaś kilka dni temu. Postanowiłem ci pomóc.

Trzy, może cztery dni temu trafiła do Anny jakaś bogata damulka, która nie chciała zgłosić kradzieży swojego mercedesa na policję, ale przeprowadzić własne poszukiwania. Anna zlecenie przyjęła, tylko do tej pory niewiele zdołała ustalić.

– Pomóc? Ach, więc uważasz, że nie jestem w stanie sobie poradzić? Że co? Że nie mam kontaktów? Że nie dam rady?

Zrobiłem zasmuconą minę.

– Masz rację, pani detektyw. To byłaby dla ciebie obraza proponować ci dokładną lokalizację i planowany czas, hm... postoję – powiedziałem poważnym głosem, gapiąc się w wydruk. – Masz rację. Podrę to. Nie mogę w ciebie zwątpić. To byłoby tak, jakbym chciał zburzyć naszą przyjaźń. Zrujnować ją nieodwoalnie...

– Dawaj to! – Wyszarpnęła mi kartkę z ręki gwałtownie, o mało nie przerywając jej na pół.

Zdążyłem wcześniej rzucić okiem na świstek, który wydrukował parkomat – adres i opłacony czas parkowania. Sieć parkomatów znała przecież położenie każdego auta w Warszawie. Wystarczyło zapytać. Miałem to zrobić już wcześniej, ale jakoś wyleciało mi z głowy.

– Ale... – W głosie Anny czaił się niepokój. – Czy to możliwe, żeby ktoś rozbijał się po mieście kradzionym samo-

chodem? Raczej przypuszczałam, że już wyjechał z miasta. Aha, wiem!

Spojrzałem na nią i wzruszyłem ramionami. Złodzieje chyba nieczęsto myślą o konsekwencjach swoich czynów, może w tym przypadku trafił się taki, co nie myśli w ogóle.

– Jej mężulo – powiedziała. – To on musiał zabrać brykę, czekaj, zaraz to... – Wyciągnęła komórkę i wybrała numer.

Odszedłem dwa kroki i wyłuskałem papierosa. Może teraz zdążę zapalić, zanim skończy gadać. Niestety zdążyłem wypalić ledwie połowę, kiedy Anna, trzymając ciągle telefon przy uchu, wyrwała mi go z ust i rzuciła na ziemię, po czym przydepnęła obcasem.

– Aua – mruknąłem na widok miazgi na chodniku.

Postanowiłem nie czekać na Annę i wkroczyłem w bramę. Wyszedłem na szerokie podwórze, otaczające mnie wysoką studnią kilkupiętrowych kamienic. Anna szła za mną powoli, trzymając się kilka metrów z tyłu. Poczekałem, aż skończy rozmawiać, i dopiero wtedy zagłębiłem się w drugą bramę, po przeciwnej stronie podwórza. Drzwi Fotoplastikonu były zamknięte.

– W poniedziałki chyba mają nieczynne – błysnęła wiedzą Anna. Zmarszczyła nos na widok mojego spojrzenia. – Wybrałam się tu kiedyś z koleżanką i jej bratanicą – wyjaśniła.

Wyjąłem komórkę i wizytówkę Kliszewskiego, którą zostawił mi jeszcze w kawiarni. Wybrałem numer. Zgłosił się po drugim dzwonku.

– Słucham?

– Herbert. Jestem na miejscu, ale zamknięte.

– Już po pana wychodzę – rzucił i rozłączył się.

Anna poruszyła brwiami, zadając nieme pytanie.

– Idzie.

Dwuskrzydłowe, drewniane drzwi szczęknęły i uchyliły się. Z wnętrza wyszedł Kliszewski. Wyglądał na zmęczonego, przybitego, jakby właśnie uciekł mu pociąg mający

zawieźć go na wymarzone wakacje. Chociaż w jego przypadku raczej chodziłoby o samolot.

Ale na widok Anny jego twarz zmieniła się, nagle ubyło mu kilka lat, dotychczasowe znużenie zniknęło w jakiś niepojęty sposób, a oczy zabłyśły. Rozciągnął usta w pięknym, białym uśmiechu i zanim zdążyłem ich sobie przedstawić, już zamykał dłoń Anny w obu swoich.

– Jacek Kliszewski. – Byłem pewien, że za moment z jego ust ścieknie mi pod nogi gruba warstwa miodu. – Nie wiedziałem, że przyjdzie pan w towarzystwie tak czarującej przyjaciółki.

Nawet na mnie nie spojrzał, mówiąc te słowa, faktem jednak było, że nie zostały skierowane do mnie.

– Anna Mróz. – Detektyw uśmiechnęła się chłodno.

Choć zazwyczaj tak natrętne awanse dziewczyna przyjmowała naprawdę oziębłe, to tym razem pierwszy raz zobaczyłem, jak ktoś zrobił wyłom w lodówce jej powściągliwości. Uśmiech miała cieplejszy niż zwykle. W sercu poczułem cieniutki, lodowaty soplek zazdrości.

Kliszewski zaprosił nas szerokim gestem do środka i kiedy weszliśmy, zamknął drzwi na klucz.

– Tędy, proszę.

Powiodł nas krótkim korytarzem do głównej sali, której centralną część zajmował wielki cylinder, otoczony okrągłymi stołeczkami. Przed każdym stołeczkiem, na obwodzie cylindra, rozmieszczone były regularnie podobne do lornetkowych okulary, przez które goście obserwować mogli stereoskopowe zdjęcia dawnej Warszawy. Maszyna była wyłączona, zapewne dlatego – jak mówiła Anna – że poniedziałek był dniem wolnym od pracy.

Kliszewski pokazał coś z prawej strony, w kącie, i z przykrością odwróciłem wzrok od walca fotoplastykonu, posłusznie kierując go we wskazane miejsce. Stało tam coś, co z wcześniejszego opisu rozpoznałem jako „dziurkę do klucza”. Ciemnobrązowe pudełko o charakterystycznym otworze na frontowej ścianie. Stało na czterech nogach,

a nie – jak mówił wcześniej Kliszewski – na „kurzej łapce”. Cóż, widać projekt ciągle ewoluował.

Obok urządzenia siedział młody mężczyzna o nieco pucołowatej twarzy, kartoflanym nosie i rozkwitającym dopiero załążku drugiego podbródka. Na kolanach trzymał laptopa, który połączony był kablem z „dziurką od klucza”. Zapatrzony w monitor, nie zwrócił na nas uwagi.

– To jest Paweł Tauryn, mój magik. – Kliszewski wskazał go ze smutnym uśmiechem.

Zrozumiałem, że nadworny magik nie daje jednak rady naprawić sprzętu, ale usprawiedliwiłem go od razu – najpewniej nie był to problem informatyczny.

Przedstawiliśmy się, a Paweł Tauryn machnął do nas ręką, nie podnosząc nawet głowy znad ekranu.

– Jakies zmiany w stanie pacjenta? – rzuciłem beztrzesko.

Tauryn spojrział na mnie pustym wzrokiem. Jak to kiedyś Zezel poetycko określił wzrok informatyków? „W oczach miał martwe piksele”.

– A nie, bez zmian. – Głos miał nadzwyczaj miły, niski. – To pan jest tym księdzem?

Tym razem to w moich oczach coś umarło. Pewnie wiara w rozsądek ćwierkających w mieście wróbelków.

– Nie ksiądz, tylko egzorcysta – poprawił go Kliszewski.

– A to nie to samo? – zapytał Tauryn.

Spojrzałem na Annę. Dusila się ze źle skrywanego śmiechu. A niech cię, ty cholero!

– Prawie to samo – powiedziałem spokojnie. – Czy może pan mnie i siostrę Annę dopuścić do obiektu?

Z radością dostrzegłem, jak uśmiech Anny tężeje po tych słowach. *Z mrozu powstałaś...* – pomyślałem mściwie. Poczulem, jak lód w sercu topi mi się w ciepłą kałużę na widok paniki w oczach Kliszewskiego.

Kiedy Tauryn, robiąc nam miejsce, odłączał laptopa i zwijał kable, spojrzeliśmy po sobie z Anną. Obojgu nam chciało się śmiać.

Odwrociłem szybko głowę, żeby nie stracić reputacji; rechocący egzorcysta na pewno nie zrobiłby dobrego wrażenia. Zbliżyłem się do urządzenia.

– Jest włączone? – zapytałem.

– Tak.

Schyliłem się i przysunąłem oko do dziurki.

Ekran umieszczony w środku pokazywał dziewczynę ze zdjęcia, Wiktorię, siedzącą samotnie na łóżku. Łóżko było szerokie, równo posłane, reszta pokoju rozmywała się i była niewyraźna. Czasem w tle coś błysnęło zbitkiem kolorowych barw, jakby blask ekranu telewizora, albo gdzieś w innym miejscu ukazywał się fragment szafki lub też komódki.

Dziewczyna coś mówiła, ale nie było dźwięku. Wypychałem pojedyncze słowa, ale czasem patrzyła w inne miejsce, spuszczała głowę i wtedy jej usta znikaly kompletnie z kadru. Wyglądała chwilami na senną, czasem zerkała całkiem przytomnie. Film trwał jakieś piętnaście sekund, a potem zaczynał się od nowa, w nieskończonej pętli. Obejrzałem go kilkakrotnie, zanim wyprostowałem się i opuściłem do „dziurki” Annę.

Kiedy skończyła, spojrzała na mnie i otworzyła usta, zamierzając coś powiedzieć. Zmrużyłem szybko oczy. „Później” – powiedziałem bezdźwięcznie. Anna mrugnęła. Stałem plecami do Kliszewskiego i jego informatyka, więc nasza komunikacja nie została zauważona.

– Mogę? – rzuciłem i nie czekając na pozwolenie, przysunąłem „dziurkę” w stronę drzwi. Spojrzałem przez wizjer – Wiktoria. Przesunąłem dalej. Urządzenie nie miało żadnych kabli, więc mogłem z nim praktycznie wyjść na zewnątrz, ale dopiero kiedy wyniosłem sprzęt poza Fotoplastikon, na filmie zobaczyłem starszego mężczyznę, a z głośników wbudowanych na wysokości skroni dobiegł jego głos:

– ...pierwsze urządzenie, które można nazwać fotoplastykonem, zbudował Alois Polanecky, w roku tysiąc osiem-

set sześćdziesiątym szóstym. Miało dwadzieścia pięć stereoskopów rozmieszczonych...

Oderwałem oko od wizjera i wniosłem sprzęt z powrotem do budynku. Znowu Wiktoria.

– I jak, ojczy? – rzucił Tauryn.

Nie skomentowałem. Jakos przestało mnie to śmieszyć. Cała sytuacja była zabawna jak nie przymierzając, toster w kąpielni. Według mnie dziewczyna została porwana. Albo zamordowana. A to był jej krzyk o pomoc. Tylko jak?

Najgorsze w tym wszystkim było to, że nikt najwyraźniej nie zauważał sedna problemu. Nie postrzegali tego jako dramatu zaginionej dziewczyny, ale jako usterkę, jakiś „glitch” – jak mawiał Zezel. Mieli do wykonania swój projekt, a ona była tylko przeszkodą na drodze do worka kasy, który miał przynieść w zębach sponsor. Do tej pory wszystko to, cała opowieść Kliszewskiego, wyglądała na jakiś durny żart. Ale czułem, że Wiktorii nie było do śmiechu.

– Kto widział ją ostatnio?

– Od nas, z Fidelio? – Kliszewski zmarszczył brwi w zastanowieniu. – Nie jestem pewny.

– Czy to jakiś problem, żeby rozmawiał z pracownikami? – pytałem dalej, a widząc, jak twarz wydłuża mu się w grymasie niezadowolenia, dodałem podstępnie: – Razem z Anią popytalibyśmy dyskretnie...

Na dźwięk imienia pani detektyw Kliszewski rozpodzielił się momentalnie. Nie był głupi, szybko zdał sobie sprawę, że nie jesteśmy funkcjonariuszami Kościoła, a myśl, że może uda mu się pobajerować dziewczynę gdzieś na osobności, pomogła mu podjąć decyzję, szybciej niż można wymówić słowa „dziurka od klucza”.

– Dziś wieczorem, w biurze, mamy imprezę – powiedział, pożerając Annę wzrokiem. – „Dziurki” co prawda nie są gotowe, ale udało nam się skończyć inny duży, równoległy prowadzony projekt dla naszego grubego klienta. I...

jakby to powiedzieć... jest czas pracowania i czas resetowania. Wszyscy muszą zrzucić trochę spiny i nabrać energii.

Patrzyłem bez słowa, czekając, aż wykrztusi z siebie to, na co czekałem.

– Oczywiście, czujcie się zaproszeni. Zaczynamy punktualnie o osiemnastej.

– W takim razie będziemy.

Spojrzałem na zegarek w telefonie, dochodziła trzecia.

– A my chwilowo się pożegnamy – powiedziałem, dając znak Annie. – Widzimy się za trzy godziny.

Wyszliśmy z Fotoplastikonu.

– Widziałeś? – syknęła Anna.

– Hotel?

– Tak.

Skinąłem głową. Pomieszczenie, w którym nakręcony był film z Wiktoria, to był pokój hotelowy. Wskazywał na to charakterystyczny, elegancki, acz odrobinę ascetyczny wystrój, szerokie, podwójne łóżko, kinkiety na ścianie. Na filmie niewiele szczegółów można było dostrzec, ale elementy, które widzieliśmy, pasowały. Anna potwierdziła moje przypuszczenia.

– To co robimy?

– Idziemy na imprezę.

– Czy mam wdziać habit, ojcze?

Wyobraziłem sobie Annę w stroju zakonnicy i ten obraz całkiem mi się spodobał. Humor mi wracał.

– Wezmę pastorał. Czuję, że na tej imprezie będzie dużo grzeszników.

Nie pomyliłem się zbyt.



Słońce zdążyło już schować się za horyzont. Dzień był ciepły, ale wieczory jeszcze potrafiły zmrozić kości falami zimnego powietrza – wiosna dopiero budziła się do życia. Od metra musieliśmy przejść jeszcze pół kilometra, zanim dotarliśmy na miejsce. Zmarzliśmy.

Biuro agencji Fidelio mieściło się na Ursynowie, w niskim, jednopiętrowym szeregowcu, odgrodzonym od ulicy wąskim ogródkiem. Niewielki parking przed domem był pusty, w sumie nic dziwnego, zważywszy, że nikt pewnie nie miał zamiaru prowadzić po pijanemu. Impreza to impreza.

Przeszliśmy kilka szerokich stopni prowadzących do drzwi wejściowych i zatrzymaliśmy się przed nimi. Anna poprawiła włosy i ujęła mnie pod łokieć. Znalazłem płytkę domofonu i nacisnąłem przycisk dzwonka. Czekaliśmy, aż ktoś odezwie się przez głośnik, ale nagle drzwi otworzyły się i stanął w nich Paweł Tauryn. Oczy mu błyszczały, jakby wypił kilka głębszych. Zaprosił nas gestem do środka, a kiedy weszliśmy, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Wnętrze przypominało bardziej dom mieszkalny niż typowy biurowiec. Żadnych kubików, poszczególne biura porozmieszczane były po prostu w różnych pokojach. To naprawdę był dom, przystosowany nieznacznie tylko na potrzeby agencji.

Jako pierwsze rzuciło się w oczy stanowisko recepcjonistki czy może sekretarki. Chociaż równie dobrze asystentki. O ile wiedziałem, te funkcje w niewielkich firmach lubiły się ze sobą nierozzerwalnie splecać. Za biurkiem nikogo nie było, podobnie jak we wszystkich przylegających do korytarza pokojach.

– Zapraszam za mną. – Tauryn ruszył w głąb i zaprosił nas ruchem ręki na piętro. Wszedł na strome na schody.

Z góry dolatywały odgłosy rozmów i głośnie muzyka. Znaleźliśmy się na piętrze.

Najwyraźniej pracownicy zaczęli balować już jakiś czas temu – w powietrzu unosił się zapach alkoholu, papierosów, potu i mieszaniny damskich oraz męskich perfum.

Na lewo od schodów znajdowała się kuchnia, która cieszyła się sporym zainteresowaniem; ale spotkania w kuchni są chyba typowe dla każdej imprezy. Na niewielkiej powierzchni kręciły się dwie pary, z czego jedna złączona namiętnym pocałunkiem. Żadne z tańczących nic nie robiło sobie z obecności pozostałych, którzy ciągle ich tręcili, a to wyciągając jakieś szklanki z szafki, a to sięgając do lodówki.

Po drugiej stronie korytarza był większy pokój – z kanapą, dwoma fotelami i stołem bilardowym, przy którym stało dwóch mężczyzn z kijami do gry. Zauważyłem, że na krawędzi stołu leży kilka niebieskich banknotów z podobizną Kazimierza Wielkiego. Na stoliku dalej stało kilka butelek piwa, tyle samo wódki i samotna butla wina, najwyraźniej nieciesząca się zbyt dużym powodzeniem, bo ciągle nienapoczęta.

W kącie za stolikiem, pod ścianą, tańczyła młoda kobieta. Miała na sobie białą, rozpiętą aż do pępka koszulę, spod której przy każdym ruchu wysuwały się miseczki czerwonego biustonosza. Poruszała się powoli, lubieżnie, skupiona zupełnie na muzyce. Oczy miała półprzymknięte, jakby nie mogła się zdecydować, czy zamknąć je do końca i oddać się transowi w całości, czy jednak obserwować, co się dzieje wokół. Nikt nie zwracał na nią uwagi, więc również postanowiłem ją grzecznie zignorować.

Z drzwi balkonowych wyszedł Kliszewski, uśmiechnął się i podszedł nas przywitać.

– Resetowanie. – Pokazałem głową wokół.

Przytaknął.

– Każdy czasem potrzebuje – powiedział. – Czego się napijecie? Ania, może piwo? Herbert?

Szybko przeszedł na „ty”. Ale rozumiałem, że taka była konwencja. Sam nie miałem nic przeciwko temu, a sztywny formalizm najlepszy był przy załatwianiu spraw urzędowych.

– Piwo.

Przyniósł dwie butelki heinekena, otworzył je i wręczył nam z przeproszającym uśmiechem, jakby wstydząc się, że nie może służyć szklankami. Nie przeszkadzało mi to, Anna również nie miała obiekcji – mrugnęła w odpowiedzi zalotnie do Kliszewskiego.

– Uprzedziłem, że nie jesteście klientami, ale powiedzmy... przyjaciółmi starającymi się pomóc nam rozwiązać problem.

– W takim razie porozmawiamy trochę. – Skinąłem głową i zostawiłem go z Anną. Miałem nadzieję, że dziewczynie też uda się uwolnić od... jaka to była funkcja? Dyrektor kreatywny?

Jako pierwszego wybrałem Pawła Tauryna przezywanego za moimi plecami, pod ścianą, ściskającego cztery butelki piwa.

– Przepraszam. – Zastąpiłem mu drogę. – Możemy chwilę pogadać?

– Na osobności? – Uciekł wzrokiem gdzieś za moje plecy. – Czy możemy na przykład iść do kuchni?

– Możemy – zgodziłem się. To może nawet lepiej, jeśli będzie tam kilka osób. Nie ma co sobie zdzierać gardła, gładząc w kółko o tym samym. O ile starczy tam dla mnie miejsca.

Starczyło. Para, która wcześniej „ślimaczyła się” tak wdzięcznie, zniknęła. Prawdopodobnie udali się gdzieś, by w spokoju przenieść znajomość na wyższy poziom zbliżenia. W kuchni pozostał młody chłopak w luźnej, kolorowej bluzie przedstawiony mi przez Tauryna jako Daniel oraz długonoga, rozchichotana ślicznotka w ciemnej sukience – Iwona.

– Daniel Krawczyk jest accountem. – Paweł kontynuował przedstawianie kolegów. Na widok mojego niezrozumienia odbijającego się na twarzy dodał: – Opiekun klientów. To na niego spadają zwykle pierwsze zjeby, jeśli klient jest niezadowolony. – Przeniósł uwagę na dziewczynę. – A Iwona jest naszą sekretarką.

– Asystentką zarządu – poprawiła go, potwierdzając moje wcześniejsze podejrzenia co do rozmytego charakteru tej profesji.

– A tam dalej? – zapytałem, wskazując w stronę pokoju, z którego przyszliśmy. – Kto to?

Pałeczkę przejął Daniel.

– To Grzegorz, copywriter, i Marek, który szczeni się chlubnym mianem web designera. Jest też drugi Marek, ale nie ma go tam, pewnie jest na tarasie.

– A tam, za nimi, tańczy Inga. – Tym razem za przewodnika usłużyła mi Iwona. – Na pewno zwróciłeś na nią uwagę. Możesz spróbować swoich szans.

Zachichotała ironicznie.

Daniel wychylił się z kuchni, popatrzył w głąb pokoju i powiedział ostentacyjnie:

– Sądząc po tym, z jak ładną dziewczyną przyszedł, to nie sędzę, żeby potrzebował szukać szansy u Ingi.

Iwona prychnęła, ale również się wychyliła i obciąła Annę spojrzeniem od noska botków aż po czubek głowy. Pani de-tektyw, rozmawiająca do tej pory z Kliszewskim, spojrzała w naszą stronę i posłała uprzejmy uśmiech, wznosząc toast butelką piwa.

Odpowiedziałem tym samym i pociągnąłem kilka łyków ze swojej.

– Ona tak zawsze? – spytałem, mając na myśli Inge.

– Zazwyczaj, jak za dużo wypije – odpowiedziała Iwona.

– Choć zwykle upija się szybko – dodał Tauryn.

– I wtedy czasem pozwala komuś wskoczyć sobie w majtki – uzupełnił Daniel.

– Nie słuchaj ich. – Iwona dotknęła mojego ramienia. – To niezła copywriterka i sympatyczna dziewczyna. Każdemu z nas odbija często ze stresu, to jej sposób na odreagowanie.

Zapadło niezręczne milczenie, które w końcu postanowiłem przerwać.

– Jak tam próby naprawienia sprzętu? – zmieniłem temat i spojrzałem na Pawła Tauryna.

Zasepił się.

– Nic szczególnego nie udało mi się wymyślić. Nie mam pojęcia, jak to działa, ale na pewno to odkryję. Nie mam zamiaru się poddać.

Najwyraźniej był przekonany, że da się wyjaśnić fenomen filmu z Wiktoria za pomocą zwykłej technicznej sztuczki. Nie dziwiłem się. Ludzie nie wierzyli w magię i wszystko starali się tłumaczyć możliwie prosto i bez jej udziału. Dodatkowo facet był ściśle techniczny, ciężko przekonać taki umysł. A ja nikogo nie miałem ochoty teraz przekonywać.

– Ja myślę, że to duch tej biednej dziewczyny – rzuciła Iwona. – Myślę, że ona się mści.

– Ma powód? – podłapałem szybko.

– Co? – Asystentka stropiła się nieznacznie – Nie, no nie wiem. Duchy zwykle nawiedzają po to, żeby się mścić, prawda?

Pokiwałem głową z udawanym zrozumieniem.

– Myślicie, że nie żyje? – zagadnąłem.

Wszyscy się wzdrgnęli.

– Nie wiem – powiedziała Iwona. – Zwykle duchy się pojawiają już po śmierci, co nie? Ten film jest dziwny. Nawet Tauryn nie jest w stanie go usunąć. – Zagryzła wargi i dokończyła: – To nie jest naturalne. Jeśli ona żyje, to jest to bardzo dziwna sprawa.

Daniel wzruszył ramionami, jakby miał to gdzieś.

– Jak nie żyje, to jeszcze dziwniejsza – mruknął.

– Dobrze ją znacie?

Daniel miał już mocno mętny wzrok, opróżnił swoje piwo i odstawił pustą butelkę na blat.

– Wiktoria? Pewnie. Ile ona ma lat... chyba siedemnastu. Apetyczna małolatka. Wpadała od czasu do czasu, robili z nią jakieś niewielkie sesje, kiedy potrzebowali niestockowego zdjęcia.

- Kto?
- Grzegorz i Andrzej.
- Ten Grzegorz przy bilardzie, tak? – Wskazałem na toczących niespieszny pojedynek mężczyzn.
- Zgadza się.
- A kim jest Andrzej? – pytałem dalej.
- To nasz art director. Był tu jeszcze niedawno, ale gdzieś sobie poszli z Pauliną.
- Aha, to para, którą wdziałem wcześniej. – Uśmiechałem się.
- Tylko ona myśli, że są parą – zaśmiał się ironicznie Daniel.
- Przestań! – Iwona uderzyła go w ramię. – Nie bądź złośliwy.
- A co, myślę się?

Zmierzyli się wzrokiem. Pomyślałem, że jeśli między tym dwojgiem miało coś zaiskrzyć, to nie dziś wieczór. A jeśli już, to będzie to wybuch złości.

- Napijmy się może? – Pomachałem butelką.

Daniel sięgnął po jedno z piw, które wcześniej przyniósł do kuchni Tauryn. Postanowiłem zmienić klimat. Odstawiłem pustą butelkę i ruszyłem w stronę Anny. Kliszewski stał przy jej boku jak wierny giermek i co jakiś czas zerkał na dziewczynę maślanym spojrzeniem. Przypominał siedzącego obok pańskiego stołu głodnego psa

Minąłem ich i skierowałem się ku grającym. Po drodze zgarnąłem ze stolika kolejne piwo. Pogratulowałem sobie w duchu, że udało mi się nie gapić na prężącą się obok Inge.

Odwróciłem się do Marka i Grzegorza, którzy zakończyli chwilę temu rozgrywkę i układali bile w trójkącie, szykując się do następnej.

- Mogę zagrać? – zapytałem.

Popatrzyli na mnie z zaciekawieniem. Może nawet z odrobiną niechęci, z tego specjalnego gatunku zarezerwowanego dla nachalnych nieznanomych.

- Herbert. – Wyciągnąłem rękę.

Przedstawili się. Grzegorz był wysoki, chudy, o trochę rozbieganym spojrzeniu. Wielkie okulary na twarzy i zacisnięte usta sprawiły, że skojarzył mi się ze starym autobusem o okrągłych reflektorach. Marek dla odmiany był niski, puciołowaty i nijaki.

– Ty jesteś tym egzorzystą? – zapytał.

Ledwo powstrzymałem westchnienie, które chciało mi się wyrwać z piersi.

– Tak – skłamałem. A co tam. Zdanie o mnie już zostało wyrobione, nie ma potrzeby go zmieniać bez powodu.

– Gramy na pieniądze – powiedział Grzegorz, odkładając trójkąt na bok.

– Tym lepiej. – Wyszczrzyłem się i położyłem na stole pięćdziesiątkę.

Grzegorz skinął głową, dorzucił taki sam banknot i szerokim gestem pozwolił mi zacząć.

– Czarna do przeciwległej – uściślił reguły.

– Jasne.

Marek wręczył mi kij. Natarłem czubek kredą, pochyliłem się nad stołem i jednym płynnym ruchem rozbiłem bile. Nie wpadła żadna. Z krzywym uśmiechem oddałem kolejkę.

Grzegorz obszedł stół, wybierając dogodny strzał. Pochylił się.

– Skąd znasz Wiktorię? – zapytałem.

Nie spłoszył się, ręka mu nie zadrżała. Celny strzał posłał żółtą dziewiątkę do luzy.

– Mam połówki – powiedział spokojnie, przechodząc na drugą stronę i nie odrywając wzroku od sukna.

Miałem wrażenie, że nie dosłyszał pytania. Już otwierałem usta, żeby je ponowić, ale uprzedził mnie.

– To znajoma mojego brata. Czy może dziewczyna? Nie wiem. A oni są w tym wieku, kiedy sami też tego nie wiedzą.

– Jak ją ściągnęliście do pracy?

Łup! Druga połówka podzieliła los poprzedniczki. Spod stołu dobiegł cichy stukot wracającej do wylotu bili.

– Mieliśmy projekt, potrzebowaliśmy nietypowych zdjęć. Podsunąłem pomysł Andrzejowi, żeby zrobić z nią sesję. Zgodził się.

Za trzecim razem Grzegorz spudłował i mogłem wreszcie spróbować swoich sił. Piwo jednak trochę szumiało mi w głowie, sukces raczej nie wchodził w grę. O dziwo, jednak trafiłem i tym razem ja przespacerowałem się dookoła stołu w poszukiwaniu odpowiedniej pozycji do strzału.

– Dasz mi namiary na brata? Chciałbym z nim porozmawiać.

Grzegorz zastanowił się, patrząc na mnie uważnie. Mierzyliśmy się spojrzeniami przez krótką chwilę, aż w końcu skinął głową. Pochyliłem się do uderzenia, wymierzyłem, ale w tym momencie ktoś wpadł na stół z łoskotem, bile rozpieczęły się we wszystkie strony, a jedna ze stukotem potoczyła się po podłodze.

Mężczyzna, który zakłócił nam rozgrywkę, podniósł się z trudem. Usiłował poprawić marynarkę, ale bez szczególnego efektu. Był pijany. Mocno pijany, oceniając po braku koordynacji i mdłym spojrzeniu. Obok wyrósł Kliszewski i złapał go pod rękę. Marek chwycił z drugiej strony i wspólnie przywrócili go do pionu.

– Co jest? Co? – wybełkotał mężczyzna, wodząc wokół błędnym wzrokiem. Usiłował poprawić marynarkę, ale bez rezultatu. – Puść!

Kliszewski jednak nie zamierzał się zastosować do polecenia. Zamiast tego spojrział na Grzegorza.

– Znajdź Andrzeja – rzucił. – Migiem.

Grzegorz odłożył kij i wyszedł z pokoju, kręcąc głowę, jakby nie wierząc w to, co właśnie zobaczył.

Kliszewski z Markiem posadzili pijanego na fotelu.

Ktoś trącił mnie w ramię.

– Masz ogień?

Obok stała Inga. Najwyraźniej jej również przerwano zabawę.

Wyciągnąłem zapalniczkę z kieszeni i podałem jej bez słowa, za to z pytaniem w oczach. Odwróciła się i wyszła na taras. Ruszyłem za nią i również zapaliłem papierosa. Zaciągnęliśmy się.

– To nasz szef – powiedziała w końcu. – Wiceprezes. Ogólnie porządny gość, ale lubi się najeść w tempie turbo. A potem takie efekty jak na załączonym obrazku. – Ruchem głowy wskazała wejście do pomieszczenia.

– Chcesz piwa? – zapytałem.

– Nie, mam już dość.

Wróciłem na moment do pokoju i sięgnąłem po swoją butelkę. Anny nie było w środku. Przy fotelu, na którym spoczywał pan wiceprezes, zobaczyłem Kliszewskiego i mężczyznę, którego wcześniej widziałem w kuchni – Andrzeja. Podsuwał właśnie pod nos swojego szefa lusterko z cienką kreską białego proszku. To dlatego wszyscy się zmyli. Wycofałem się z powrotem na taras.

– Więc tak się ratuje pijanych szefów? – mruknąłem półgłosem.

Inga zrozumiała. Pewnie nie pierwszy raz widziała podobną scenę. Pokiwała głową i strząsnęła popiół z papierosa pod nogi. Nigdzie nie widziałem popielniczki, poszedłem więc w jej ślady.

– Dostanie swoją porcję koksu i zaraz będzie jak nowy.

Spojrzałem za taras, na niewielki, zaniedbany ogród, w którym smutno stały małe chojaki. Miła okolica na reset. Ciekawe, jak sąsiedzi znoszą takie imprezy.

– Chcesz się zabawić? – zapytała nagle Inga. Patrzyła na mnie badawczo. To była bardzo bezpośrednia propozycja.

– Jestem w pracy. – Wykręciłem się kiepsko.

Parsknęła krótkim, złym śmiechem.

– No proszę. Ja jeszcze też. Co tu robisz?
– Szukam czegoś na temat Wiktorii Kamińskiej.
– Cóż... – Pstryknęła niedopałek do ogródka. W ciemności zatoczył czerwony łuk i zniknął gdzieś w dole. – Tu jej nie znajdziesz.

Wyminęła mnie i wróciła do biura. Dopilem piwo i zakończyłem żywot swojego papierosa sposobem Ingi.

Zanim jednak wszedłem do pokoju, w drzwiach stanął Andrzej. Skinął mi głową i wyciągnął paczkę czerwonych marlboro.

– Ty jesteś tym magikiem, co to ma naprawić Fotoplastikon?

Nieźle powitanie. Z egzorcysty awansowałem na magika. Iluzjonistę-hochsztaplera. Potaknałem jednak potulnie.

Przyjrzałem się dokładnie mężczyźnie. Był mojego wzrostu, odrobinę tylko niższy. Miał szeroką twarz, o silnie zarysowanej linii szczęki – jak mawiał mój jeden znajomy, „twarz, w którą łatwo trafić”. Za to proporcjonalną, bardzo męską, brakowało mu jedynie dołka w podbródku. Do tego świdrujące spojrzenie, prosty nos, a uśmiech olśniewający jak w reklamie gabinetu stomatologicznego. Ale kiedy się uśmiechał, górna warga odstaniała różowe dziąsła, przez co przypominał mi zdenerwowaną małpę, którą widziałem kiedyś w zoo. Trudno polubić taki uśmiech, a już na pewno nie wzbudził on mojego zaufania.

– Ta ślicznotka, która się tu kręci, to twoja pani? – zapytał.

Zrozumiałem, że chodzi mu o Annę. Odruchowo chciałem zaprzeczyć, ale przecież narażałem ją na napastowanie ze strony takich typów. Andrzej nie spodobał mi się. Może przez to, że był tak cholernie przystojny, a może przez bijącą od niego pewność siebie. Ale najpewniej przez narkotyki. Kliszewski kazał go przyprowadzić, zupełnie jakby wzywał pogotowie ratunkowe. Co oznaczało, że Andrzej musiał być zwykle dobrze zaopatrzony.

– Tak – odpowiedziałem po chwili zamyślenia. Ciekawe, że dopiero w tak dziwnych okolicznościach zastanowiłem

się, co właściwie łączy mnie z Anią. Na pewno przyjaźń, ale czy coś więcej? Tak by się wydawało. A jednak żadne z nas nie przekraczało tej cienkiej granicy, za którą budują się pomiędzy ludźmi bliższe relacje. Może oboje wiedzieliśmy, że z czasem te relacje szybko niszczejną i pokrywają się pajęczyną blizn. I dlaczego właściwie myślę za nas oboje? Zupełnie nie miałem pojęcia, jakie jest na ten temat zdanie Anny.

Alkohol wyzwolił sentymentalny nastrój. Ale nie przyzedłem tu rozczulać się nad sobą, tylko zadawać pytania o Wiktoria. Co też niezwłocznie uczyniłem.

– Fajna małolata – odrzekł Andrzej. – Robiliśmy z nią kilka projektów. Cwana i sprytna, a przy okazji ładna i do tego bardzo fotogeniczna. Powinna zostać modelką.

– Małolata – powtórzyłem. – Ile ona ma właściwie lat? Andrzej stropił się.

– Czternaście – powiedział. – Wygląda na sporo więcej, wszyscy się dali na początku nabrać. Ale wiesz jak to teraz jest: makijaż, ciuszki. Dobrze zbudowana, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Wiedziałem. Ale nie spodobał mi się sposób, w jaki to mówił. Słyszałem w jego głosie jakąś skrywaną poządliwość. A może po prostu byłem do niego uprzedzony.

– Po tym jak w Fotoplastikonie nasza „dziurka od klucza” zaczęła szwankować, myśleliśmy, że Wiktoria ma coś z tym wspólnego. Ot, jakiś psikus, głupi żart nastolatki. Ale szybko okazało się, że to nie jest zwykła usterka. Chłopaki zaczęli grzebać przy sprzęcie, Jacek Kliszewski próbował nawet negocjować, żeby nie odpalać tam projektu, no wiesz, żeby ratować nam dupska. Bez rezultatu. Dzwoniliśmy nawet do Wiktorii, żeby się dowiedzieć, o co chodzi, ale nie odbierała. Wygląda na to, że serio wycięła nam jakiś dowcip i zniknęła.

– Widziałeś ten film?

Wbił wzrok w czubki butów. Uniósł nagle głowę, jakby sobie przypomniał o mojej obecności.

– Tak, pewnie. Wszyscy widzieliśmy. Takie to dziwne po prostu – zakończył nieskładnie.

Na taras weszła Anna. Andrzej z miejsca obdarzył ją uśmiechem.

– Może się napijecie? Mam przepis na znakomitego drinka, kumpel ze Szwecji sprzedał mi przepis, nazywa się Młot Thora.

– Spróbujmy – przystała z uśmiechem Anna. – Piwo mi dziś nie wchodzi.

– Jeszcze jedno pytanie. – Zatrzymałem Andrzeja. – Kiedy ostatnio widziałeś Wiktorię?

Zastanowił się krótko.

– W piątek w ubiegłym tygodniu. Chcieliśmy jej pstryknąć parę fotek. Wcześniej mieliśmy małą sesję i Wiktoria ogólnie podobała się naszemu klientowi, ale miał jakieś zastrzeżenia do kilku detali. Nasz grafik nie mógł sobie poradzić w Photoshopie – roześmiał się. – Coś tam z perspektywą. Szybciej po prostu było cyknąć jej te parę zdjęć, zwłaszcza że to nie był wielki projekt. Dlaczego pytasz?

– Chodzi mi o ustalenie, kto widział ją po raz ostatni. To pomoże nam odtworzyć, co robiła przed zniknięciem.

– To ma sens. – Pokiwał głową. – A teraz, jeśli nie masz więcej pytań, to może... – Pokazał wymownie na drzwi.

Wróciliśmy do środka. Wiceprezes i Kliszewski zniknęli. Przy stole znowu grali Marek z Grzegorzem. Zabrałem swoje pieniądze.

– Może później spróbujemy jeszcze raz. – Posłałem Grzegorzowi przepaszające spojrzenie. Zbył to wzruszeniem ramion.

Na schodach zobaczyliśmy Kliszewskiego, który wracał właśnie na górę. Pomachał do nas. Zatrzymaliśmy się Anną, Andrzej minął nas i wszedł do kuchni.

Szczęściarz
Copyright © Marcin Jamiolkowski
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Alicja Sularz
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-208-3
epub ISBN 978-83-7995-209-0
mobi ISBN 978-83-7995-210-6

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Bartosz Czarnecki
Korekta: Barbara Kaszubowska
Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Alicja Sularz
Skład wersji elektronicznej: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl